

SÁNDOR  
MÁRAI



PORWANIE  
EUROPY

CZY  
TEL  
NIK



SÁNDOR  
MÁRAI



PORWANIE  
EUROPY

Przekład, przypisy i posłowie  
Irena Makarewicz

Czytelnik

Tytuł oryginału węgierskiego  
*Európa elrablása*

© Heirs of Sándor Márai  
Csaba Gaal (Toronto)

Okladkę i kartę tytułową projektowała  
Maria Drabecka

Redaktor prowadzący  
Anna Rucińska

Redaktor  
Bianka Dziadkiewicz

Korektor  
Elwira Wyszynska

Redaktor techniczny  
Bożena Ławnicka



Jelen mű kiadása a Petőfi Kulturális Ügynökség  
magyar irodalmat népszerűsítő célkitűzése szerinti  
együttműködés keretén belül valósult meg.

Książkę opublikowano w ramach współpracy z Agencją Kultury  
im. Petőfiego, której zadaniem jest promocja literatury węgierskiej.

© Copyright for the Polish translation  
by Irena Makarewicz, 2022  
© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2022

ISBN 978-83-07-03497-3

Zurych. Po siedmiu latach i trzech miesiącach pierwszy raz za granicą.

W trakcie tych siedmiu lat po wielokroć wyobrażałem sobie, jak też to będzie, gdy znów zobaczę świat. Wiedziałem, że i to będzie „inne” – jak wszystko, zawsze. Niemniej jednak, jakie?... Człowiek wyłazi z jakiejś jamy, spomiędzy końskich trucheł i niewybuchłych granatów, przeciera oczy, wzdycha – jakoś tak to sobie wyobrażałem.

Rzeczywistość jest inna. Człowiek, po siedmiu latach, zamawia taksówkę. Przejeżdża tą taksówką przez żelazny most<sup>1</sup>. Wsiada do ekspresu Arlberg, który ma również wagon restauracyjny i wagon sypialny. Pociąg przejeżdża przez stały most kolejowy. Na granicy węgierski tajniak zachowuje się uprzejmie. Nieopodal Hegyeshalom jestem głodny, w Wiedniu – śpiący, niedaleko Salzburga ciśnie mnie but i piecze nagniotek. Tuż przy granicy strefy przechodzi przez wagon rosyjski żołnierz, ziewa i nie

---

<sup>1</sup> W styczniu 1945 roku wycofujące się oddziały niemieckie wysadziły wszystkie mosty łączące Budę z Pesztem. Ich metalowe pozostałości, zaległe w Dunaju, wykorzystano do budowy nowego mostu, nazwanego imieniem Kossutha. Otworzono go w styczniu 1946 roku, a rozebrano dopiero w latach sześćdziesiątych.

prosi o żadne papiery, amerykański też nie prosi o żadne dokumenty, na granicy szwajcarskiej pośpiesznie wbijają mi w paszporcie pieczętkę, a wiedzieć chcieliby tylko to, czy w tę podróż nie zabrałem dzieła sztuki, przykładowo jakiegoś Tycjana. W wagonie restauracyjnym kelnerzy są nieuprzejmi, jak przedtem, i poganiają pasażerów, jakby to było stado zwierząt. W Zurychu jestem zły, bo nie ma tragarza.

*Absolutismus, gemildert durch Schlamperei...*<sup>2</sup> Mądra teoria administrowania, którą posługiwali się Habsburgowie, to obok *divide et impera*<sup>3</sup> jedyna znośna praktyka, rzeczywistość i dzisiaj łagodzi to, co Umysł wynosi na swoje sztandary. W rzeczywistości pociąg, gdy już ruszył, bez przeszkód toczy się przez strefy i granice państwowe, urzędnicy są uprzejmi i obojętni... ale nie więcej! To wściekle czynownictwo i dzika mandaryńskość, które w pewnym momencie znów wybuchły w świecie, ta przeniknięta rozkoszą praktyka przybijania pieczętek, ujmowania w akta, wydawania pozwoleń, antyszambrowania, przez którą Europa raz już popadła w ruinę, a teraz szykuje się, aby powtórnie się w tym utopić, o ile nie zostaną szybko powstrzymane ręce tych, którzy przybijają pieczętki, wydają zezwolenia, zatwierdzają i podpisują! Samorzutnie Wyrosłe Urzędy oraz Szczoteczka do Zębów, której potrzebne jest zezwolenie na wywóz, to dotknięty obłędem porządek, pod którego powierzchnią dojrzewa katastrofa.

---

<sup>2</sup> Absolutyzm złagodzony nieporządkiem (niem.). Tak wypowiedział się na temat sytuacji panującej w Austrii Victor Adler (1852–1918), austriacki polityk i działacz socjalistyczny.

<sup>3</sup> Dziel i rządź (łac.).

Za przełęczą Arlberg łąki są zaśnieżone. Domy nienaruszone. O świcie stoję na korytarzu w wagonie kolejowym. Łukowe lampy stacji, niczym prysznice, spryskują śnieg migotliwym blaskiem.

Opodal Buchs lampy w wagonie restauracyjnym świecą już jaśniej. Maniery kelnerów też są inne. Dania zaś szlachetniejsze, ponieważ droższe. Pokój zaczyna się w ten sposób, że wszystko robi się cichsze, spokojniejsze. Zdaje się, że to nie jest tylko kwestia losu historycznego. Chyba także pieniędzy.

W Zurychu taksówka, rolls-royce, wiezie mnie do hotelu, z pokoju łączę się bezpośrednio z genewskim numerem telefonicznym, na poczcie urzędnik dziękuje za pieniądze, gdy opłacam telegram. W Kunsthaus wystawiono obrazy z wiedeńskiego muzeum. Na zakręcie schodów prowadzących na piętro spogląda na mnie infantka Małgorzata Teresa, w białej sukni, z dziecięcą hardością; a w sali – infant Filip Prospero<sup>4</sup>. Zwiedzającemu Muzeum Sztuki w Zurychu pięcioletnia infantka ukazuje się z tą charakterystyczną dla dzieci i panujących wyższością, niejako wyłania się z zapadni historii, gdzie bytowała suwerennie, podczas gdy nas na ziemi palono i przypiekano. Velázquez, jak i wszyscy pozostali, Goethe i Mozart, otóż oni są silniejsi. To prawda, że do losu historycznego potrzeba też szczęścia.

Oglądam obrazy Tycjana, dwa autoportrety Rembrandta i pomалу robię się pijany. To zgęszczony i zimny stan upojenia. Brueghle są tylko dwa, *Złodziej gniazd*

---

<sup>4</sup> Obrazy Diega Velázqueza, należące do zbiorów Muzeum Historii Sztuki w Wiedniu.

i jeden rysunek; obrazów malowanych na desce nie mają jeszcze odwagi wystawić, piwniczne życie zaszkodziło tym specyficznym istotom. Badam ciała Rubensa, z bliska, w okularach, jak starcy Zuzannę; bo wzrok mi się popsuł, odkąd ostatni raz je widziałem. Scena grupowa na obrazie Salvatora Rosy w sposób idylliczny ukazuje, jak Sprawiedliwość zstępuje do chłopów<sup>5</sup>. Ten obraz, tak jak nowoczesny plakat, jest objaśnieniem.

Siadam na ławce przed muzeum. Słońce przygrzewa. Powinienem krzyczeć „hosanna” i świętować to, że żyję, raz jeszcze mogę oglądać to wszystko, świat, obrazy z wiedeńskiego muzeum... Ale nie zaczynam wydawać żadnych okrzyków radości. Moje drugie „ja”, które tak dobrze znam, nie popada w entuzjazm. Jestem spokojny, być może zadowolony... to wszystko. Zdaje się, że gdy obrazy Velázquez’a i ja sam leżeliśmy w piwnicy, czas na zawsze zlikwidował we mnie pewne patetyczne zdolności. W przypadku obrazów łatwiej jest mimo wszystko pozostać konsekwentnym; i w ogóle, sztuka jest bardziej konsekwentna.

Ten bujny amerykańizm na ulicach, z tymi *citylights*, ze światłami, z nadzwyczajną obfitością towarów w witrynach, te okna, których od czasów Napoleona nie wybiły ręce rabusiów... Tak, okno, które ostatni raz wybili żołnierze Napoleona, jest oknem inaczej niż okno w mojej kwaterze na Wzgórzu Róż, w które miejscowy szklarz w końcu, po długich błaganiach, wprawił szybę... Znam tę skrytość, nienaruszoność. Jakbym obudził się z koszmarnego i dziecinnego snu i spostrzegł rzeczywistość...

---

<sup>5</sup> Obraz pt. *Powrót Astrei*.



z ulgą, a mimo wszystko z uczuciem rozczarowania. Możliwe, że ten sen był „czymś więcej”?... Był koszmarny, straszny, niepojęty, bolesny... ale był też czymś więcej niż ta bujna i obojętna, nienaruszona rzeczywistość? To miasto jest takie, jakbym powrócił, ja – syn marnotrawny, do domu mojego ojca; wszystko jest tutaj nienaruszone, takie, jakie było kiedyś, w pewnej formie życia, w której się urodziłem. Tylko ja już nie jestem taki, jaki byłem, kiedy się w niej urodziłem i żyłem pośród tych rekwizytów, w tej formie życia.

Gdy trwały dwie wojny światowe, ludzie tu się wzbogacali, upiększali to, co już i dotąd było znakomite, kupowali Rembrandta i nową pościel, udoskonalali detale, turbiny, koleje żelazne, porządek prawny i bezpieczeństwo publiczne... Mają świadomość winy. Rozmawiam z pewną Szwajcarką, stara się wzbudzić współczucie, mówi coś o tym, że cukier jest na kartki, i napomyka, że czekolady nie dostanie się już tak i tyle, jak przedtem... Słucham tych skarg, potakując głową, w milczeniu, z roztargnieniem; mniej więcej tak, jak dorosły, który na dodatek wszystkiego ma jeszcze i raka wątroby, może słuchać dziecka, skarżącego się, bo mu się porwało ubranko dla lalki.

Mówią o „planie Guisana”<sup>6</sup>, który ich uratował: jeśli Niemcy zaatakują, po walce poddać płaskie tereny,

---

<sup>6</sup> Chodzi tu o zapowiedzianą w Rütli 25 lipca 1940 roku przez generała Henriego Guisana (1874–1960), naczelnego dowódcę armii szwajcarskiej, obronę Szwajcarii w tzw. Reducie Centralnej (*Réduit national*): w przypadku inwazji niemiecko-włoskiej większość armii szwajcarskiej miała się wycofać do położonego w górach systemu fortyfikacji, a reszta – niszczyć mosty, tunele i wiadukty, aby opóźnić działania wroga.

wycofać się do *réduit*, pomiędzy położone na skałach gniazda Interlaken albo innych takich obszarów, i tam symbolicznie obronić neutralność Szwajcarii. To był piękny plan, w każdym razie trzeba było do niego odwagi etycznej. W rzeczywistości raczej mieli szczęście, gdyż niemiecki sztab generalny w ostatniej chwili zaatakował jednak przez Holandię, a Niemcom może i potrzebna była neutralna Szwajcaria. Tak czy inaczej, uratowali się.

Jeśli człowieka nie pieką akurat na rożnie albo nie obracają nad żarzącymi się węglami, natychmiast zaczyna jęczeć, powtarza wiersz Baudelaire'a, boi się spleenu... Taki jest człowiek. Ja, podobnie jak toksykoman, przywykłem do silnych trucizn. Ten pokój jest dla mnie jak przebywanie na kuracji odwykowej. Bezustannie czegoś mi brakuje. Chyba zagrożenia.

Jakiś amerykański samolot spadł pomiędzy lodowce, los pasażerów maszyny typu Dakota przedstawiały w szwajcarskich gazetach całostronicowe zdjęcia, długie artykuły: „Neue Züricher Zeitung” publikuje obszerną depezę donoszącą, że w trakcie działań ratowniczych szwajcarski żołnierz odmroził sobie nogi; następnie nową depezę, która powiadamia, że dwudziestoletni żołnierz jednak nie odmroził sobie nóg, obrażeniom uległ tylko jeden kciuk, ale to da się wyleczyć... Wszyscy o tym mówią, z ulgą, bo wreszcie „coś się dzieje”. Z tej okazji gazety publikują przesiąknięte humanizmem wstępniaki o „ludzkiej solidarności”, o tym, że są jeszcze „pozytywne” wydarzenia na świecie... Tak w ogóle, gazety przynoszą zestaw codziennych sensacji, podanych jak

propaganda na plakacie lub reklama na afiszu: przed Bernem wykoleił się pociąg, jest dwóch zabitych, dziesięciu rannych, zaginęło małe dziecko, jakąś młodą kobietę spoliczkował jej kochanek itd.

Czytam entuzjastyczne korespondencje na temat losu samolotu Dakota i przypomina mi się, że przed dwoma tygodniami, pewnego wietrznego dnia, w pobliżu mojego mieszkania w Budzie, na ulicy Török, dziesięć metrów przede mną z ruin domu spadła cegła i uderzyła w głowę urzędnika bankowego, w taki sam sposób, jak w starych filmach Chaplina tajniak walił gumową pałką tego grubego typu, który przy takiej okazji, po krótkotrwałym chwianiu się, zawsze się przewracał. Człowiek zginął na miejscu, przykryto go papierem pakowym, a potem zabrano wozem; szukałem później w gazetach jego nazwiska, ale nawet nie napomknięto o nim. Tak, my przywykliśmy do innego rodzaju trucizn.

Genewa. Nietknięte francuskie miasto, chyba jedyne nietknięte francuskie miasto na świecie; bo podejrzewam, że kraje, które „wzięły udział” w wojnie, nie są „nietknięte”, nawet jeśli w ich miastach nie wybito ani jednej szyby w oknie, a obcy żołnierz nigdy nie deptał ich asfaltu. Jak w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie; bo już sam „udział” to atak i zakażenie, a burzą nie tylko bomby i granaty. To miasto jest rzeczywiście nietknięte i francuskie. Tutaj wszystko jest s t y l e m – smak, słowo, wspomnienie, w kuchni i w muzeum, w obyciu i w mentalności ludzi, w uśmiechu kobiet, w przedmiotach, którymi urządza się mieszkania. W hotelu duch starych szwajcarsko-francuskich tradycji: głęboka cisza, uważność, nierealna, charakterystyczna dla czasów pokoju

kuchnia, *gigot*, *soles meunière*<sup>7</sup>, słynne sałatki. I ci sami goście: genewscy milionerzy, którzy przeprowadzili się tu na zimę, bo w ten sposób zaoszczędzą sobie na ogrzewaniu; stare, brodate Angielki, które przyjeżdżają tutaj z odżywiającej się monotonią, powojennej Anglii, żeby jeść, dziewięćdziesięcioletnie kobiece wersje Pantagruela, które w trakcie jedzenia niekiedy doznają niemal apopleksji, robią się czerwone i mają zawroty głowy – wtedy pomaga się im wyjść na świeże powietrze, gdzie przytomnieją, a potem wracają do restauracji i dalej zajadają; kmiotki z Ameryki, z olśniewającymi autami, nowymi studebakerami, które podziwiają nawet Szwajcarzy. Na półkach bistr stare, szlachetne alkohole, winiaki *marc*, *calvadosy*, wina *chartreuse*, w sklepach nieprzebrane masy towarów, w każdym rodzaju, w każdej obfitości i wersji. Ceny są wysokie, ale realistyczne, regulowane zgodnie z wiecznym prawem popytu i podaży. Teraz wszystko jest raczej drogie, mówią Szwajcarzy; ale nikt nie wie dlaczego... W jednej witrynie, tak przy okazji, mały Renoir, bo nie jest niemożliwe, że jakaś nudząca się dama zatrzyma tu przed południem, w trakcie shoppingu, auto i zakupi tego Renoira do swojej garderoby w Ohio, za trzy tysiące sześćset... Nic nie jest niemożliwe. Mój francuski wydawca bez humoru opowiada o kryzysie francuskiej książki, ale nadmienia w nawiasie, że kanadyjski rynek francuskich książek jest i dzisiaj znośny, cztery, pięć tysięcy egzemplarzy zawsze się tam sprzedaje. Każdy ma tu w kieszonce kamizelki tego rodzaju możliwość, jak kanadyjski rynek francuskich książek. Ich kłopoty nie są kłopotami; ich świadomość winy jest wypowiedzana szeptem, szczerze.

---

<sup>7</sup> *Gigot* (fr.) – udziec barani; *soles meunière* (fr.) – sola smażona na maśle, podawana w sosie z pietruszką i cytryną.

Osobliwe miasto. Ostatni raz byłem tutaj, gdy Apponyi pojedykował się z Titulescu<sup>8</sup>. Liga Narodów obradowała wtedy jeszcze w hotelu nad jeziorem. Teraz już powstał ów potężny pałac, który – patrzę nań z przeciwnego brzegu – sprawia takie wrażenie, jak nowoczesny budynek zbankrutowanej fabryki; towary, które produkowała, nikomu nie były potrzebne.

Osobliwe miasto, gdzie wciąż jeszcze żyje duch Kalwina; zagląda do garnków, mierzy długość sukni kobiet. Dziwnym zjawiskiem jest to, jak pewien cierpiący na żołądek fanatyk w ciągu kilku miesięcy zrobił z kwitnącego, zmysłowego, szczęśliwego i bogatego renesansowego miasta więzienie i obóz internowania. A potem tak to pozostało; coś pozostało z tego przerażenia, nie w instytucjach, lecz w duszach.

Odwiedzam T., francuskiego poetę. W tym budynku na każdym piętrze ulokowały się trzy *Comités*; jest tu siedziba Żydów, młodych ewangeliczek, młodzieży chrześcijańskiej, protestanckich misjonarzy, katolickich dobroczyńców, ogromnych przedsięwzięć! Ta uprzemysłowiona, zapisywana w kartotekach dobroczynność –

---

<sup>8</sup> Hrabia Albert Apponyi (1846–1933) – polityk węgierski, pełnił wysokie funkcje państwowe, przewodził delegacji węgierskiej w trakcie końcowych rozmów pokojowych po I wojnie światowej, walczył o zrewidowanie bardzo niekorzystnych dla Węgier postanowień traktatu z Trianon. Nicolae Titulescu (1882–1941) – polityk rumuński, minister finansów oraz spraw zagranicznych, stały przedstawiciel Rumunii w Lidze Narodów, reprezentował Rumunię na konferencji pokojowej w Paryżu (1919–1920), współtwórca Małej Ententy, a następnie Ententy Bałkańskiej, sojuszu Czechosłowacji, Jugosławii i Rumunii, powołanego dla przeciwstawienia się rewizjonizmowi węgierskiemu.

a ostatecznie przecież i ja mogę czemuś takiemu zawdzięczać to, że w ogóle jestem tutaj! – przybiera coraz większe rozmiary na całym świecie. Te przedsięwzięcia usamodzielniają się, przemieniają w urzędy i mnożą.

Z okna w pokoju T. widać jezioro i ośnieżony szczyt Mont Blanc, śnieg mieniący się w różowym zmierzchu. Jednocześnie mówimy, smutno i sarkastycznie: *Oui, les choses éternelles!*...<sup>9</sup> – i śmiejemy się bezradnie.

Na brzegu jeziora łabędzie i jakieś czarne nurkujące ptaki wodne, chyba kaczki; i wszędzie cisza.

Na twarzach kobiet, ładnych *genevoises*, raz po raz rozbłyska lekki, nieprzytomny uśmiech. Nasze kobiety czasem się śmieją, czasem są zatroskane bądź obojętne, ale już tylko z rzadka się uśmiechają. Do tego kobiecego uśmiechu potrzeba stu lat pokoju; to właśnie to, co pozostało najbardziej chyba nietknięte w Genewie. Ten uśmiech rozbłyska, na każdym kroku, jak oślepiające światło z kieszonkowego lusterka w rękę łobuziaka.

Genewa to małe miasto z dużymi wymaganiami. Teraz chciałoby pochwycić i przyszpilić choć promień z wiecznego blasku, który przez stulecia ozłacał Paryż.

Pewien agent literacki robi mi nadzieje na zamorskie sukcesy. Słucham go z roztargnieniem, znam realia, i odpowiadam: „Ja już nie chcę sukcesu w Nowym Jorku. Zadowolilibym się jakimś fiaskiem w Teksasie. Mnie i to wystarczy”.

---

<sup>9</sup> Tak, rzeczy wieczne!... (fr.).

Boją się. Są bogaci, a więc się boją. Ja też się boję, ale inaczej... O cóż takiego jeszcze się obawiam? Oni obawiają się o pewną kulturę, bezmierny majątek i dobrobyt, o dojrzałe i nietknięte formy życia. Ja tylko o to, że w ostatniej chwili zakręci mi się w głowie, otchłań jest silniejsza i jeśli się nad nią pochylę, jeszcze raz...

Nie sędzę, żeby w tym bogatym i szczęśliwym mieście żył jeden jedyny pochodzący stąd człowiek, który pojąłby ów moment, utrwalony we mnie najmocniej spośród wspomnień z wojny; moment, gdy następnego poranka po wyzwoleniu Budy, po dwudziestokilometrowym marszu dotarliśmy z L. na ulicę Mikó, siedliśmy na skraju chodnika, naprzeciwko domu, w którym przeżyliśmy ostatnie osiemnaście lat, a pomiędzy ruinami widać było z mojego pokoju jeszcze tych kilka pólek z książkami. Nikt z tutejszych nie może zrozumieć tej ulgi, którą poczułem w tamtej chwili. Wszystko stało się padliną i ruiną; ale we mnie była wolność, jak kiedy mówi się: „No, nareszcie!”. To jest coś, czego nikt tutaj nie może zrozumieć. Myślę, że zacna szwajcarska policja wydaliliby mnie pod eskortą, gdybym wytłumaczył im prawdziwy sens tego uczucia; i być może wydaliliby mnie wcale zresztą nie bez przyczyny.

W jednym z pokoików w Bibliothèque Hongroise (mój Boże, jakąż to „bibliotekę” urządziły tu poprzednie węgierskie rządy!) spotykam przed południem P., francuskiego poetę, oraz Cz., węgierskiego malarza, przekładających wiersze Radnótiego<sup>10</sup>. Cz. pali fajkę

---

<sup>10</sup> Miklós Radnóti (1909–1941) – węgierski poeta, prozaik i tłumacz. Zmarł w trakcie Marszu Śmierci, a wiersze, które

i z zapalem szuka u Sauvageota<sup>11</sup> francuskiego odpowiednika „spienionego nieba”; P. w milczeniu, gorliwie zapisuje wszystko, co Cz. podpowiada. Oczy francuskiego poety płoną osobliwym, niespokojnym ogniem. P. już od lat tłumaczy węgierskie wiersze, Attilę Józsefa, Kosztolányiego, Petőfię; teraz przyjechał tu aż z Wersalu, żeby się z nami spotkać. To potomek zamożnej francuskiej rodziny, walczył z Hiszpanami w wojnie domowej, obecnie jest anarchista. Pada deszcz. Na głos odczytuję mu wiersz Radnótiego zatytułowany *Paryż*, a on skupia się na melodii słów; potem on czyta na głos, przedstawia francuskie przekłady węgierskich wierszy. To pierwsza taka chwila, w trakcie tej podróży, kiedy czuję, że przy całej beznadziei jest w życiu również coś wspaniałego.

Film, który zrobiono na podstawie książki Gide’a pod tytułem *Symfonia pastoralna*<sup>12</sup>. Przyprawiający o ból uszu i mdłości kicz o ślepej dziewczynie i pastora (genewscy duchowni oczywiście już protestują, kolegialnie!) – ładne, pełne śniegu obrazy, dobrzy aktorzy, zwłaszcza Blanchar; a całość beznadziejna. Film i literatura wiecznie mówią dwoma różnymi językami; Chaplin był jedynym, który wiedział o tym dokładnie. Dwa momenty – kiedy

---

odnaleziono przy jego ciele w zbiorowym grobie, zostały włączone do zaprojektowanego wcześniej przez samego poetę tomu *Spienione niebo* (węg. *Tajtékos ég*), opublikowanego pośmiertnie w 1946 roku. Dzisiaj należą do kanonu poezji węgierskiej.

<sup>11</sup> Aurélien Sauvageot (1897–1988) – francuski lingwista, twórca studiów ugrofińskich we Francji, autor wielkiego słownika francusko-węgierskiego oraz węgiersko-francuskiego.

<sup>12</sup> Ekranizacja powieści André Gide’a w reżyserii Jeana Delanoya, z 1946 roku. Pierre Blanchar grał w tym filmie pastora.





*Czy istnieje jeszcze Europa duchowa?... Czy są tylko kraje, granice, systemy finansowe, ustroje polityczne, a z całości pozostał tylko chorobliwy nacjonalizm?*

W *Porwaniu Europy* Sándor Márai zawarł spostrzeżenia i refleksje z podróży, w którą wyruszył w 1946 roku z ojczystych Węgier do Szwajcarii, Włoch i Francji.

Przemierzając pierwszy raz po tragedii drugiej wojny światowej ulice Genewy, Rzymu, Neapolu, Paryża... i obserwując mieszkańców tych metropolii, utwierdził się w gorzkim przekonaniu o pogłębiającym się podziale Europy na wschodnią i zachodnią – podziale politycznym, ekonomicznym i kulturowym. Co więcej, Stary Kontynent utracił, zdaniem pisarza, rolę przewodnika wskazującego światu wartości i kierunku rozwoju.

*Wyjechać to dla mnie teraz już zawsze oznacza też tyle, co z biciem serca się z czymś żegnać, być może na zawsze. „Do widzenia” – mówię i w to wierzę.*

ISBN 978-83-07-03497-3



9 788307 034973

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

RÓWNIEŻ JAKO  
**E-BOOK**